

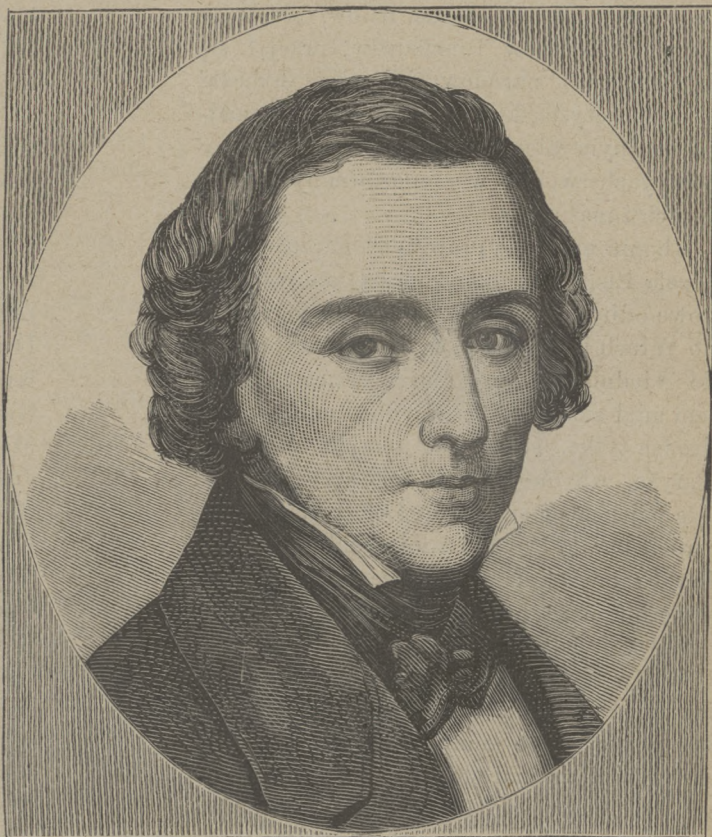


CIASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE  
DLA DZIECI.

## Fryderyk Chopin.

Wszyscy czytelnicy nasi, którzy się uczą gry na fortepianie, wiedzą, że kompozycje tego autora należą do trudniejszych; ażeby je zagrać tak, jak należy, trzeba już być wysoko posuniętym w nauce muzyki. W dziejach sztuki polskiej Chopin zajmuje jedno z najpierwszych miejsc. Ojciec jego, rodem Francuz, przybył do kraju naszego dla dawania lekcyj języka francuzkiego, ale matka, Krzyżanowska z domu, była Polką i znakomity muzyk, jakkolwiek całe niemal życie spędził w Paryżu, zawsze się uważał za rodowitego Polaka.

Fryderyk Chopin (Szopen) urodził się w r. 1810 w Żelazowej Woli pod Sochaczewem. Od dzieciństwa był wątły i chorowity, a wielka troskliwość i czułość, którą go z tego powodu otaczano w rodzinie, nie wpłynę-



Fryderyk Chopin.



ła szkodliwie na jego usposobienie, jak to zazwyczaj bywa, ale przeciwnie, wyrobiła w nim łagodność i tkliwość, zawsze też i w życiu późniejszym odznaczał się temi przymiotami. Musiał on wczesnie okazywać niepospolite zdolności do muzyki, skoro zwrócił na siebie uwagę księcia Antoniego Radziwiłła, który był sam muzykiem i kompozytorem. Z jego to łaski młody Fryderyk, którego rodzice nie byli bogaci, otrzymał bardzo staranne wychowanie i mógł się poświęcić nauce muzyki pod kierunkiem najlepszych nauczycieli.

Młodzieniec w szkołach pozyskał przyjaźń wszystkich kolegów, niektórzy z nich należeli do najpierwszych rodzin w kraju, i wprowadzili go do domów swoich rodziców. Tym sposobem Chopin bywał nieraz na świetnych zebraniach, u książąt Radziwiłłów, Czetwertyńskich, Jabłonowskich, u księżny Łowickiej, u hrabiów Zamojskich, i wtenczas to zapewne, będąc świadkiem balów, słuchając muzyki polonezów i mazurów, przejął się duchem tych narodowych tańców, ukochał tę nutę ojczyzną, którą później z takim nadzwyczajnym talentem umiał oddawać w kompozycjach swoich, w nieporównanych polonezach i mazurach.

Chopin uczył się prawideł kompozycyi od Józefa Elsnera, a ukończywszy studia naukowe odbywał krótkie wycieczki zagranicę, do Włoch i Niemiec. W r. 1829 wybrał się do Wiednia, wystąpił tam z koncertem, potem miał zamiar udać się do Londynu i po drodze tylko, na krótko, wstąpić chciał do Paryża. Ale okoliczności inaczej zrzędziły. Nie pojechał wtenczas do Londynu, nie powrócił też do Polski i zamieszkał stale w stolicy Francyi, gdzie wkrótce pozyskał powszechnie uznanie i wielką sławę.

Zawsze jednak Szopen najchętniej przebywał w towarzystwie rodaków swoich, Polakiem był duszą i sercem, wszystkie też kompozycye jego muzyczne noszą na sobie wybitne piętno narodowe. Zawsze wątłego zdrowia, cichy, łagodny, nie lubił życia światowego, unikał licznych i hucznych zebrań, nawet z koncertami rzadko kiedy występował, chociaż gra jego wielkie uwielbienie wzbudzała. Zgasł w Paryżu, na ręku siostry,

i ukochanego ucznia, Gutmana, otoczony gronem przyjaciół, w r. 1849.

## POCZĄTEK ZIMY.

Dąbrowol kwiaty!  
 Żegnajcie nam!  
 Anioł zatruty  
 Z północnych wyjrzał bram  
 I rzekł zniszczenia słowo.  
 A na to słowo dokoła  
 Wiedną i trawki i ziola;  
 Twarz się przyrody mieni,  
 Jój skroń obleka pleśń.  
 I nieskończona  
 Skowronka pieśń  
 W przestrzeni kona.  
 Hola! słyszycie,  
 Widzicie— tam,  
 Przez nagie pola  
 Zbliża się tuman k'nam,  
 A za nim burzy wycie;  
 A wśród burzy, w majestacie,  
 W rozpuszczonej śnieżnej szacie,  
 Idzie władczyńni nowa:  
 I przez tumanu mgłę  
 Znaczy oczyma  
 Dziedzictwo swe  
 Królowa zima.  
 Biada wam, kwiatki  
 Majowych błon!  
 Już mrok zapada,  
 Blednieje słońca skroń;  
 Biada wam, słońca dziatki!  
 Wpółśród nocy i chaosu,  
 Ostatek pulsu i głosu  
 U matki ziemi znika;  
 Grobowy bije dzwon,  
 A z nim gromada  
 Kruków i wron  
 Wykrzyka: Biada!  
 A my, synowie  
 Wiehru i burz!  
 Zkądże uczkniemy  
 Na wieniec dla was róż,  
 Wielcy w grobach ojcowie?

Niech świszczą wichry, grom błyska,  
 My siądziem blisko ogniska,  
 Pójdzie czasa dokoła;  
 Z nią ku czci przeszłych lat  
 Piosnka radosna,  
 Nim świeży kwiat  
 Wywoła wiosna.

J. N. J.

## Ziarnka moralności.

Ignas lubił niezmiernie wszystkie wiejskie zajęcia rolników, zawsze uprosił matkę, ażeby z nim poszła na żniwo, na siejbę, wszystko uwagę jego zwracało i nieraz bardzo roztropne czynił spostrzeżenia.

— Patrz, mateczko—mówił raz, pokazując kłos zeschnięty, porzucony na ziemi w bliskości gospodarskich zabudowań — w tym kłosie jest jeszcze kilka ziarenek, gdybym je zebrał starannie, zasiał w ziemię, wyrosłyby z nich piękne krzaki zboża; a tak bardzo być może, że tu zgniją na wilgoci i nic z nich nie będzie. Jak to dziwnie, doprawdy, że teraz może się stać z temi ziarnkami to, co ja zecheę.

— Masz słusność — odrzekła matka — przyszłość ich cała od ciebie zależy; gdybyś je otoczył staraniem, mogłyby wydać plon piękny i obfity. Pamiętajże, moje dziecko, że serce twoje jest polem, na którym rodzice zasiewają ziarnka dobrych rad i przepisów cnoty. Nie dajże tym ziarnkom zmarnieć i zginąć, dopomagaj nam pielegnować je starannie, aby się rozwinęły, wzrosły i plon pożyteczny przyniosły tobie i ludziom, braciom twoim. Jeśli te nauki nasze zachowasz w pamięci, coraz lepiej je będziesz pojmował, one też nie zaginą, i ani się spostrzeżesz, jak wejdziesz w przekonanie twoje i kierować będą twojemi czynnościami, staną się wskazówką twojego życia. Chrystus często przytaczał przykłady z siejby i ziarn zbożowych w boskich naukach swoich. I tak powiada: *Królestwo Boże jest tak, jak kiedy człowiek wrzuci ziarno w ziemię; bądź śpi, bądź wstaje w nocy i we dnie, ziarno wschodzi, rośnie, choć on o tem nie wie.*

## KTO CHCE, TEN WIELE MOŻE.

Komedyjka w 3-ch Aktach.

przez **Maryą Czesławę.**

(*Dalszy ciąg*).

### AKT II.

Pokój jak w pierwszym akcie. Przy oknie z robotą w ręku siedzi p. Korecka, przy stoliku pisze  
 Natałka.

### SCENA I.

P. KORECKA, NATALKA.

P. KORECKA. Czy prędko ukończysz lekcye, kochanko? Dziś jeszcze nie bawiłaś się wcale, a tak ciągle pracować nie można.

NATALKA. Kiedy, babuniu droga, dużo mam przepisywania.. (Rumieni się) Tamto wszystko tak niestarannie było pisane..

P. KORECKA. No, no, napisze się to jeszcze, napisze.

NATALKA (błagalnie). Pozwól, babuniu, jeszcze chwileczkę tylko.

P. KORECKA (z uśmiechem). Ale pamiętaj, że chwileczka to bardzo niedługa.

(Natałka pisze, wchodzi p. Zofia).

### SCENA II.

Też same, p. ZOFIA.

P. ZOFIA. Wie mateczka, że dziś spodziewać się mamy Helci, przed chwilą właśnie list odebrałam.

P. KORECKA. Ja tak myślałam, kochanko. Wszakże jutro powinna być już w klasie.

NATALKA (składając książki). Helenka wracał O, jak to dobrze, znów się będziemy wspólnie uczyły.

P. ZOFIA. I bawiły razem, kochanko. Ty się tu zapracujesz teraz, a zabawić się nawet z kim nie masz.

NATALKA. Ja, ciotuniu, mam tyle teraz roboty..

P. KORECKA. Czas się na wszystko znaj-



dzie, Natalciu. (Wchodzi Anusia z walizką w rękę).

### S C E N A III.

TEŻ SAME, ANUSIA.

ANUSIA. Panna Helenka przyjechała. (Stawia w kącie walizkę).

NATALKA (z radością). Helenka, Helenia moja, chodźmy naprzeciw niej, ciotuniu.

P. ZOFIA. Pewnie ją odwiózł wujaszek i śpieszy powitać wprzód swoją rodzinę.

P. KORECKA. Proście go, Zosiu.

P. ZOFIA (wychodzi z Natalką).

ANUSIA (do Natalki). Dopieroż to radość, pannusiu. (Wychodzi).

### S C E N A IV.

P. KORECKA SAMA.

P. KORECKA. Pocziwe, drogie dziecko z téj Natalki. Nie myślałam nigdy, żeby tak wiele z siebie zrobić mogła. Drugie już święta dobrowolnie nie jedzie do domu, żeby się uczyć. Będzie miała Marynia prawdziwą pociechę z tego dziewczątka — obiecujący charakter i złote serduszko.

### S C E N A V.

P. KORECKA, P. ZOFIA, NATALKA, HELENKA.

HELENKA (całując w rękę babunię). Babciunia moja czy chociaż zdrowa?

P. KORECKA (ściskając ją czule). Dziękuję ci, kochaneczko. A cóż tam u was słyhać — kiedyż Wandeczkę mama przywiezie?

HELENKA. Po wakacyach, babunieczko. Dla Wandzi te parę miesięcy czasu nie stanowią tak wielkiej różnicy.

P. ZOFIA. Naturalnie, lepiej nawet, że od początku rok szkolny zacznie.

NATALKA. Jak ja już dawno Wandzi nie widziałam...

P. ZOFIA (do Helci). Cóż, bardzo się cieszyła mamusia cenzurką swjej stypendystki?

HELENKA. O tak, ciotuniu, jakżem szczęśliwa, że mogę jój być w czém pomocną.

NATALKA. A mama moja, Józia — widziałas je pewnie Heleniu?

HELENKA. A jakże, Natalciu — ciocia Marynia była u nas z Józią w drugie święto. Wypytywała się bardzo o swoją córeczkę kochaną, kazała mi ją uściskać. (Całuje ją). A od Józi masz także miliony całusów. Zapewniłam cioteczkę, że jesteś już pierwszą uczennicą.

NATALKA (z wymówką). Och, Heleniu...

HELENKA. A gdybyś widziała Józję! płakała z radości, że ma tak dobrą, tak kochającą siostrzyczkę.

NATALKA. Kochana moja Józia! Ale przywiezie ją tu mama napewno, Heluniu?

HELENKA. A jakże — jestto gorącym życzeniem cioci.

P. ZOFIA. Reszta jest w twoich rękę, Natalko.

HELENKA (wesóło). Ale chodź ze mną, Natalciu, mam dla ciebie list od mamy i Józi i trochę przysmaczków. (Wychodzą).

### S C E N A VI.

P. KORECKA, P. ZOFIA.

P. ZOFIA. Czy wie mateczka, że naszą Natalkę czeka może prawdziwe zmartwienie.

P. KORECKA (niespokojnie). Co mówisz, Zosiu?

P. ZOFIA. Dowiadywałam się właśnie o to stypendyum i powiedziano mi, iż pomimo że Natalka na liście kandydatek pomieszczoną została, jednakże tyle jest potrzebujących, a ona jeszcze z początku tak słabą była uczennicą...

P. KORECKA (z wzrastającym niepokojem). Więc nic już z tego nie będzie...

P. ZOFIA. I owszem, stypendyum dostanie, tylko jeszcze nie teraz.

P. KORECKA. O Boże drogi, co począć! To ją za bardzo obejść dziś może. Radź, Zosiu — jak wyjść z téj biedy.

P. ZOFIA. Myślałam nad tém już dosyć długo, lecz żadna myśl szczęśliwa mi nie przychodzi.

P. KORECKA. A jednak zaradzić temu potrzeba. Tak to biedactwo po całych dniach pracuje, ślęczy nad książką...

P. ZOFIA. Niezawodnie, mateczko droga.

P. KORECKA (żywo). Mam myśl. (Po chwili).

Gdybym tak była bogatą... No, ale róbmy to, co jest w naszej mocy. Maryni napisać trzeba jak rzeczy stoją. Ja podejmuję się wziąć na siebie połowę utrzymania Józki, na drugą połowę już Marynia zdobyć się powinna. Trudno to jęj przyjdzie, nie przeczę, ale w tym razie wszelkie przeszkody przeciężyć musi... choćby jedynie dla dobra swego dziecka.

P. ZOFIA. Masz słuszość, mateczko. Pewna jestem, że Marynia zrozumie dobrze całą ważność tego kroku.

P. KORECKA. Jednakże, Zosiu, sądzę, że dobrzeby było dać uczuć Natalce, że spotkać ją może podobny zawód. Niech się przyzwyczaja do znoszenia przeciwności, bo w życiu jęj one nie miną.

P. ZOFIA. Myślę nawet, że ostrożnie wprowadzić, lecz trzeba jęj dać poznać całą prawdę. Jeżeli będzie cierpliwą, zawsze osiągnie przecież cel swoich dążeń.

P. KORECKA. Tak, lecz wszystko, co jest w naszej mocy, zrobić musimy dla osłodzenia jęj tego pierwszego w życiu zawodu.

## S C E N A VII.

TEŻ SAME, HELENKA, NATALKA.

NATALKA (wbiegając wesolo). Mamunia moja przysłała babunieczce ulubione jęj makaroniki, a Józka ciepłą chustkę swęj własnej roboty (Całując rękę p. Koreckięj oddaje jęj powyższe przedmioty).

P. KORECKA. Dziękuję ci, moje dziecko drogie. (Przygląda się uważnie robocie chustki). Jak wypracowana starannie.

NATALKA (do p. Zofii figlarnie). A dla ciotuni co?

P. ZOFIA (śmiejąc się). Pewnie placuszki z miodem.

NATALKA (wesolo). Zgadła ciotunia. Mama wie, co ciocia Zosia najlepięj lubi. (Oddaje jęj pakiciek).

HELENKA. A od Józki zasuszone trawki na bukiety.

P. ZOFIA. Właśnie też chciałam świeży teraz zřobić.

NATALKA. Ach, jak ja się cieszę, że nie-

zadługo już zobaczę mateczkę moję i Józję, bo wszak prawda, ciotuniu, że gdy ja dostanę stypendyum, mama jeszcze przed wakacjami przyjedzie zapisać Józję?

P. ZOFIA (powoli). Tak, jeżeli wszystko pójdzie nam po myśli... zapewne.

NATALKA (patrząc niespokojnie na p. Zofię). Ciotuniu—a może... może... ja nie dostanę stypendyum i wszystko... i nic z tego nie będzie..

HELENKA. Ależ Józka już ma wyprawę gotową, wybiera się napewno.

NATALKA (z boleścią). Ciotuniu... a może nic z tego nie będzie!

P. ZOFIA (patrząc na nią badawczo). A gdyby i tak było, Natalko?

NATALKA (gwałtownie). Och, ciociu! tak być nie może, to niepodobna!

P. KORECKA. Ależ uspokój się, Natalko, to tylko przypuszczenie.

NATALKA (do p. Zofii). Ale ciotunia coś już wie pewnie?

P. ZOFIA. Nic pewnego powiedzieć ci jeszcze nie mogę, kochanko, być jednakże może, że jeszcze teraz nie będą mogli dać ci stypendyum, lecz w każdym razie..

NATALKA (wybuchając płaczem). O, ja nie-szczęśliwa, to już pewnie po wszystkiem i całe moje marzenia na nic, na nic..

P. KORECKA. Natalko, w najtrudniejszej chwili życia nadziei tracić nie można, a rada zawsze się znajduje.

NATALKA (płacząc). Wszystko napróżno, napróżno..

P. ZOFIA (podchodząc ku niej). Więć już teraz, Natalko, oddasz się całkiem rozpaczy i opuścisz rękę?

NATALKA (jak wyżej). Jabym już na książki patrzeć nie mogła, wiedząc że to wszystko napróżno..

P. ZOFIA (smutnie). Ja miałam o tobie lepsze wyobrażenie.

HELENKA (łagodnie). Czy dawno to, Natalciu, mówiłaś mi, że nauka ci sprawia przyjemność, że uczyć się lubisz, żeś tyle, tyle dowiedziała się już z książek ciekawych rzeczy...

NATALKA (ze łzami). To co innego, to co



innego zupełnie. Ach jakaż ja biedna, jaka ja nieszczęśliwa!..

P. KORECKA (podchodząc ku niej). Natałko, rozpacz twoja martwi mnie niewypowiedzianie; przestań płakać, a poradzimy coś na to.

NATALKA (z żalem). Ach, babuniu, czyż można nie płakać, czyż można myśleć o czemś przy takim zmartwieniu...

P. ZOFIA (z naciskiem). Łzy ci nic nie pomagają, nie a nie zupełnie.

HELENKA (układając książki na stoliku, na stronie). Biedna Natałka, to doprawdy za ciężka dla niej próba.

NATALKA (do p. Zofii). Ale czyż ja mogę nie płakać, czy mogę...

P. ZOFIA. Spróbuj tylko, a przekonasz się, że lepiej na tém wyjdiesz. (Całuje ją). No, moja desperatko, pomyśl tylko, czyby nie można na to znaleźć jakiej rady.

NATALKA (zakrywając oczy chusteczką). O, ja nic nie wiem—nic.

P. ZOFIA. To wcale nie wiele. A ja pewna jestem, że znalazłabyś skuteczną radę.

NATALKA. Och, ciociu, ciociu, mnie już głowa pęka od żalu...

P. ZOFIA. Czy wiesz, Natałko—ja myślałam, że ty jesteś zdolną do czegoś więcej. Kto z takim zapalem umie się wziąć do pracy, ten i w razie niepowodzenia powinien coś więcej umieć, jak łzy napróżno wylewać i załamywać ręce. Mnie się tak zdaje przy najmniej.

NATALKA (obejmując ją za szyję). Cóż więc mam robić, radź, droga ciociu.

P. ZOFIA (całując ją, wesóło). O tak, to rozumiem. Zobaczysz, jaką skuteczną radę znajdziemy.

HELENKA (zbliżając się). O tak, ciotuniu, musimy zaradzić temu.

P. KORECKA (powstawszy z miejsca do Natalki, całując ją czule). Niech cię uścisnę, dziecko kochane, teraz pewna jestem, że i z tej próby wyjdiesz zwycięzko. (Zasłona spada).  
(d. n.)

## GAWĘDY PODSŁUCHANE U WIŚLANEJ FALI.

przez M...a.

### VIII.

#### MAŁY PIOTREK.

Okolo roku 1590 i później aż do 1612 blisko, pobożni ludzie, mający zwyczaj bywać codziennie w kościele Panny Maryi w Krakowie, wchodząc doń z rana o jednej i tejże samej godzinie, zwracali zawsze oczy ku boczemu ołtarzowi, pierwszemu od wejścia. Jeżeli na stopniu tego ołtarza postać księdza w czarnej sutannie klęczała, to radość była w mieście dnia tego i kto mógł biegł na ulicę Grodzką, do kościoła Św. Piotra i Pawła, gdzie tenże ksiądz miewał kazania, gdy był w Krakowie. Bo kazania te bywały takie, że król, pan i prostak zrozumiał je i słuchać pragnął, chociaż zadrzeć nieraz musiał, a księdza tego zwak: Złotoustym. Kościół Św. Piotra i Pawła, w którym przemawiał Złotousty, zbudowany był kosztem króla Zygmunta III. Budowano go okolo lat 20. Naglądając na to budowanie w ostatnich już jego czasach, przywykł Złotousty wstępować zawsze choć na chwilę jedną do kościoła P. Maryi, i nalóg ten pozostał mu, ilekroć się znajdował ksiądz ten w Krakowie. A mieszkać musiał przeszło przez dwadzieścia parę ostatnich lat swego życia przy boku króla Zygmunta III w Warszawie, jako królewski kaznodzieja. Ksiądz to był szczupły, średniego wzrostu, zawiędlój cery, pięknych i wybitnych rysów, o ustach zaciśniętych, nakrytych siwym, bujnym, równo przystrzyżonym wąsem, o bardzo gęstych siwych włosach, które zawsze w tył wszystkie z całej głowy odrzucał, co przy wielkiej ich bujności tworzyło mu ponad szerokiemi czolem niby pudrowaną fryzurę. Oczy miał takie, jakie nazywamy pospolicie orlemi; to jest głęboko osadzone, a przytém duże i ciemne. Tak osadzone oczy mają zazwyczaj wzrok doskonały i niezmiernie bystry, a zdarzają się rzadko. Złotousty słynał też właśnie i ze

wzroku swego i bystrzej przenikliwości. I to nie tylko cielesnego wzroku, bo sprawdziło się niezmiernie wiele z wieszczych słów jego o przyszłości wyrzeczonych. Takim przedstawiają go owocne wiarogodne portrety. Gdy ta postać księcia ukazywała się na owym stopniu ołtarza, klęcząca w zakęcie kościoła P. M. tedy nie tylko na kazanie, ale i na pomoc i radę biegł lud do Złotoustego, i to lud cały, od pana do żebraka, śpiesząc, dopóki ksiądz wraz z królem albo do króla nie odjedzie.

Na lat kilkadziesiąt przed tą ostatnią życia jego epoką, ten królewski kaznodzieja stał sobie jako małe chłopię przed zamożnym dworcem ojcowym, rozsiadłym w Mazowieckiej ziemi. Stał pomiędzy ojcem i dziadem, siedzącymi naprzeciw siebie na dwóch ławach po obu stronach ganku. Dwóch starych chłopów stało tuż przed gankiem, zawzięcie wymawiając sobie krzywdy poczynione wzajemnie, tak zawzięcie, że tylko wzgląd na panów, do których przyszli na rozsądzenie swjej sprawy, wstrzymywał zaciekłych przeciwników od bójki. Poza nimi stała nieledwie cała wioskowa starszyzna, patrząc na nich, wzdychając, wzruszając ramionami, ale i śmiejąc się trochę. Bo chłopci ci dwaj byli dwoma rodzonymi braćmi, którzy pokłóciwszy się po raz pierwszy przed laty przy podziale ojcowizny, klócili się bezustannie, krzywdząc się wzajemnie na zgorzienie, żal i nareszcie śmiech całej gromady. Z bardzo zamożnych zeszedli już do ostatniej nędzy, z poważanych na wzgardzonych, z uczciwych na niesumiennych. Kilkanaście już razy, ulegając namowom pańskim i sąsiedzkim i własnej nawet szczerzej oehocie, postanawiali za radą proboszcza zapomnieć wszystkiego co było, a o to, co i jak ma być, zdać się na sąd pana. Po kilkanaście już razy na skutek takiego postanowienia przychodzili oni tak, jak teraz, z całą gromadzką starszyzną za świadki, na sąd do pana. I za każdym razem pokłócili się w obec nich wszystkich na nowo, gorzej niż wprzód, tak, jak teraz właśnie i bez sądów musieli ich odprowadzać w dwie różne strony sąsiedzi, jak dwóch rozżartych kogutów.

Najzabawniejszą rzeczą w tej sprawie, tém,

z czego właśnie śmiała się wzdychając gromada, było to, że się obaj oni kochali wzajem serdecznie. I to też jedynie tłumaczyło, jakim sposobem przy takiej zawziętości, przez tyle lat, nie zaszło pomiędzy tymi dwoma ludźmi nic gorszego, prócz krzywd wzajemnych na dobytku, majątku, dobrej sławie i wszelkich innych sprawach, w których jeden drugiemu mógł szkodzić. Ale niechże jeden zaniemógł, wtedy dopiero szalał drugi z rozpacz, wzywając proboszcza, pana, i Pana Boga, i całą gromadę na ratunek i ratując sam z poświęceniem bezgranic. Tak było, gdy jednemu drzewo nogę przytłukło; tak było, gdy drugi niebezpiecznie się potłukł, spadłszy z wysoka przy poszywaniu stodoly. W takich to razach postanawiano zapomnienie uraz i zgodę uroczystą, na którą przyszedłszy do pana, pokłócono się za każdy raz na nowo i zawziętość rozpoczynała się w najlepsze.

Nienajprzyjemniejszém było przytém stanowisko sąsiadów, a nawet i pana samego; bo obie strony odwoływały się ciągle do ich sprawiedliwości, obie były ciężko pokrzywdzone, ciężko winne i miały niezaprzeczone racje swoje. A jeżeli ktoś, rozpatrujący się w tej powikłanej sprawie, ostrém słowem zaczepił którąkolwiek stronę, tedy ta, na której korzyść to czyniono, pierwsza zwracała się na protektora swego, druga pomagała jej, ujnując się sama za sobą i koniec końców obie wspólnie i zgodnie w tym jednym razie napastowały tego kogoś trzeciego, albo żal do niego czuły śmiertelny.

Gdy i na ten raz zapowiedziana zgoda skończyła się kłótnią i wyprowadzeniem zapierzonych kłótników w dwie różne strony z dziedzina, wtedy chłopię stojące pomiędzy siedzącymi w ganku ojcem i dziadem, spytało:

— I co to im takiego jest? Czy to choro-  
roba jaka? Czy kara Boska?

— To jest nieszczęście! — rzekł stary  
dzia-  
dek, głową kiwając.

— Co za nieszczęście? — pytał chłopiec  
my-  
ślący.

— To jest dopuszczenie Boże takie, które  
dotyka ludzi albo za ich grzechy, albo za  
grzechy ich ojców, albo dla tego, aby się spra-



wy pańskie na nich okazały.—Tak tłumaczył ojciec; a mały chłopiec, chciwie mu w oczy wpatrzony, zdawał się umysłem pracować nad zrozumieniem tych wyrazów. Więc widząc to i chcąc mu w téj pracy dopomóc, rzekł znów dziad powoli:

— Kto wie, czy nieszczęście tych dwóch ludzi, które oni sami sprowadzają na siebie niepowsściągliwością języków, drażniąc się nieni do gniewu, nie jest zbawiennym dla całej wioski i okolicy przykładem. Przynajmniej, jeżeli mam sądzić drugich po sobie, to muszę przyznać, że ze mną samym tak jest.

— Ty, dziadku? albo tybys potrafił się klócić? — rozśmiał się wnuk serdecznie; bo klótnia przystosowana do powagi jego dziada śmieszna mu się nieskończenie zdawała. Dziad ten był od dawnych czasów sędzią wszystkich spraw na całą okolicę, chłopskich i szlacheckich, a nikt nigdy w nim gniewu nie dopatrzył.

— Ho! ho! ale jak!.. — odpowiedział ten dziad powoli, zamyślając się, jakby czytał w przeszłości.

— Kiedy, kiedy? jak? — zapytał syn z uśmiechem, bo i jemu spokojna powaga ojcowska zdawała się dziwnie nie przystawać już do samego wyrazu: Klótnia.

— Kiedy? — dziad powtórzył — albo ty nie pamiętasz, jakem to ja ciągle na skargę do naszego księcia Janusza chodził, aż mi powiedział, że godziłoby mi się Skargą nazywać?

— A, coś to ja o tém pamiętam naprawdę — rzecze syn — ale jakos nie siedziałem wtedy w domu, więc nie wiem, ani o co szło, ani jak się to skończyło. Tylko że Janusz

Mazowiecki nazwał ojca Skargą, to pamiętam, bo głośno o tém gadano.

— Szło o to, o co i tym dwom chłopom idzie, o lada co, albo i o nie, wzruszając potężnymi ramionami dziad mówił: Zajął mi sąsiad konia w szkodzie, już ja póty usadzałem się, póki dwóch jemu nie zająłem; a spojrział na mnie krzywo, to ja tak wyloty wyrzucałem, aż go po oczach trzepnąłem. Nie raz zdarzy się, że ktoś dokuczy drugiemu niechcący i z duszyby rad złe potem na-

prawić, ale jeżeli tamten pokrzywdzony zawnie się i umyślną już krzywdą odpowie, to i dalej pójdą gniewy, rosnąc jak na majowym deszczu i będzie ząb za ząb i oko za oko. Tak było ze mną. Krzywdzili mię wszyscy. Jam do księcia ze słusznymi skargami chodził a chodził, ażem Skargą od niego został nazwany. Darłem się z całym sąsiedztwem, jak ci dwaj chłopci ze sobą i biedniałem w klótniach jak oni, przeklinając złe sąsiady, chociaż jam tych sąsiadów chyba i wówczas po bratersku kochał, bo inaczej zkądżeby mi się dziś dla nich miłość ta wzięła, dla której ojcem i do-

brodziejem mię zowią?... Więc wszystko było zenną tak samo, jak dziś jest z tymi chłopami, dopóki ci właśnie dwaj chłopci w mojej własnej wiosce takiej samej gry na języki i złości nie zaczęli ze sobą w oczach moich. Z obowiązku przychodziło mi nieraz tłumaczyć im, jako samym sobie szkodzą, a prawiąc im mądre słowa, wstyd mi było je wymawiać, bom je doskonale mógł wziąć do siebie. Szczęściem wypadło w owę porę właśnie potaćnić z Tarem. Poszedłem. Przez czas wyprawy pogaskły żary sąsiedzkich zawiści, gdy wrócił



Patrz mateczko... str. 627.



było mi łatwiej zacząć z ludźmi z innej beczki, a przysiągłem sobie, że zacznę, gdy mi proboszcz pokazał owych dwóch chłopów bogatych i poważanych niegdyś, którzy wyszli już wówczas na pośmiewisko ludzkie i nędzę. Zacząłem więc wychodzić z ludźmi inaczej, a oni dziś zowią mnie ojcem, sędzią i dobrodziejem swoim.

Stary dziad przestał mówić o sobie, zagajając właśnie jakąś sąsiedzką sprawę, w któ-

u wieczerzy i powiedziano gdzie był, proboszcz zapytał:

— Czyś ty na zgodę z bratem namawiał starego Budę?

— Tak — szepnął Piotrek, czerwieniąc się i oczy spuszczaając.

— Probuje chłopce dalej — rzekł proboszcz — my wszyscy trzej probowaliśmy już napróżno, ale tyś dziecko, więc możesz większy mieć wpływ na zawziętego starca je-



Wzór do rysunku.

rój go o pośrednictwo proszono. Po chwili dano wieczerzę, przy której dopiero spytano się wzajem:

— A Piotrek gdzie? — bo takie nosił imię chłopiec. Szukano i znaleziono Piotrka, siedzącego na kłodzie przy przelazie, obok starszego z dwóch kłótników braci. Piotrek coś prawił, rękami żwawo machając, a stary chłop szlochał, jakby był dzieckiem karcącym. Gdy dziecko przyprowadzono przed dziada, ojca i proboszcza, siedzącego także

dnego i drugiego od nas grzesznych starców. Probuje, a jeżeli *to* się tobie uda, to powiem, że się na wielkie rzeczy przydać możesz współbraciom swoim i naszym.

Tak upoważniony Piotrek, zachęcony widocznym zadowoleniem ojca i dziada, usadził się na dwóch braci kłótników. I z czasem, po całym życiu nieszczęścia i zgorznienia, dwaj starcy pogodzili się, osiedli w jednej chacie i dotrwali w zgodzie do śmierci. Ludzie mówili, że cud się stał za spr-



wą dziecka. Tak rozpoczął Złotousty pierwszą próbę wymowy swojej. Dwaj starcy przez resztę życia powtarzali sąsiadom, jak i co mówiło im dziecko w długich przyjacielskich pogadankach, na łące, w lesie, w ogrodzie. Słuchacze zgadzali się wszyscy na to, że Piotrek będzie księdzem. Nic lepszego nie można było przecież wymyślić dla dziecka, mówiącego jak anioł i nawracającego starych grzeszników.

Takie zdanie ogółu, objawione głośno, nie mogło pozostać bez wpływu na myślące dziecko, które wzrastając pomiędzy trzema poważnymi starcami, słyszało ciągle o zatargach i niezgodach w kraju. Piotr zapragnął nauki, aby mózdz nią działać na umysły możnych, jak serdeczną prostoty wymową podziałął na prostaczka starca. Oddany do akademii krakowskiej, zdobył wszystkie jej naukowe zaszczyty i tak, jak to sobie zasłużył, poszedł wpływać na możnych. Został nauczycielem najprzód Jana Tęczyńskiego, potem dwóch braci Radziwiłłów. Ale spostrzegł, że oddaje się zupełnie wychowaniu kilku ludzi tylko, a tymczasem nauki potrzebuje niesłychanie wielu. Oczywiście było, że ksiądz może być z natury swego stanu najwłaściwszym nauczycielem i Piotr został księdzem, jak mu to dawno lud przepowiedział. Na probostwie w Rohatynie pasł on duchowną karmią owieczki swoje, gdy rozmaite wpływy złożyły się na zmianę kierunku jego pracy. Świeżo ustanowiony zakon Jezuitów nęcił wówczas ludzi zacnych i uczonych, a więc pragnących nauki. Świeży zgon ulubionego ucznia, Jana Tęczyńskiego, narzeczonego królowny szwedzkiej, który utonął, jadąc od niej przez Bałtyk, smutkiem napełnił gorące serce nauczyciela. Świeże niesnaski w kraju znowu naprowadziły proboszcza Rohatyńskiego na dawną myśl, że na lud, jak na małe dziecko, dość działać przykładem z góry, a słowo potężne najpotrzebniejsze jest właśnie u góry, między możnymi, z kąd idzie ten przykład. Proboszcz Rohatyński wstąpił do zakonu Jezuitów, założonego w r. 1534 przez Ignacego Lojole. Wróciwszy z Rzymu, znalazł on w kraju niespodzianie człowieka, rozu-

miejącego jego pragnienia i zamysły tak doskonale, że prawdziwa przyjaźń, bardzo rzadko zdarzająca się w podobnych okolicznościach, złączyła go z tym człowiekiem, którym był Stefan Batory. Obydwaj pracowali nad założeniem akademii wileńskiej. Po śmierci Batorego zawczesnej, Zygmunt III wezwał księdza Piotra na kaznodzieję swego. Odtąd to, w chwili najzawilszych swarów w kraju, ksiądz Piotr, jakby przypomniawszy sobie starą dziadową opowieść, odrzucił, a raczej przestał używać nazwiska swego rodowego, Pawęski, a podpisywał się tylko *Skarga*, niby wieczna, żywa skarga przed trybunałem winnych, na tychże winnych, którzy zarazem winowajcami i sędziami siebie samych byli, a i nieszczęsnymi ofiarami; niemniej nakoniec Skarga, stojący na kazalnicy w kościele Św. Piotra i Pawła, stawał się im niby wyrzutem sumienia, budzącym gromowemi słowy odurzone, zbłąkane, lub zaspane umysły.

W tym kościele Św. Piotra i Pawła, w grobie, pod wielkim ołtarzem, spoczywają popioły Skargi w trumnie małej cynowej, z takim napisem: Ta trumna zawiera Złotoustego, wielobnego sługę Bożego, ojca Piotra Skargę, urodzonego r. 1532, zmarłego w Krakowie r. 1612 i t. d.

## Rodzina wrzosów.

Przechadzki z cicią ustały z nadejściem chłodów jesiennych, zabrakło bowiem kwiatków na łąkach; ale dziewczątka nie chciały zapominać botaniki i ciocia przyrzekła opowiadać im przez czas zimowych miesięcy o roślinach zamorskich, które można widzieć w cieplarniach naszych, lub po ogrodach. Powtórzmy tu czytelnikom naszym te opowiadania.

Czy znacie tę małą krzewinkę o liściach wązkich, która i w barwie i w postaci ma coś posępnego, co przypomina drzewa szyszkowe, sosny, jodły, świerki? Wrzosy, bar-



dzo pospolite na Mazowszu, wyrastają zwykle na suchych równinach, brzegami lasów iglastych. Na Podolu, na Ukrainie, nie znajdziemy nigdzie tych roślin. Drobnie ich kwiateczki bladioróżowe, bardzo niepozorne, zebrane w długie gronka, mają kształt dzwoneczków, a tak są trwałe, że nieraz przez całą zimę przechowują się w mchu za oknami. Korona ich jest jednopłatkowa, zrosnięta u dołu w rurkę, u góry na cztery klapki rozcięta, kielich także o czterech ząbkach, a pręcików ośm naliczymy w każdym kwiatku.

W Europie zachodniej, we Francji, a zwłaszcza w Belgii, rośnie odmienny nieco gatunek wrzosu, dla odróżnienia zwany wrzosieniem. Rośliny te pokrywają tam często rozległe piaszczyste równiny, a popielatawe ich liście i łodygi, i drobne kwiateczki, zwykle błękitnawe, lub blade lila, zdaleka zlewają się w jednostajną barwę szarą i smętną. W okolicach morza Śródziemnego wyrasta wrzosię drzewiasty, który ma postać małego drzewka; gałązki jego okryte są białym, delikatnym kutnerem, a śliczne kwiatki białe, dzwonekowate, pachnące, zebrane w grona okazałe, przypominają konwalią.

Ale każda roślina ma zwykle pewną okolicę na ziemi, gdzie klimat i grunt jest dla niej najwłaściwszy, tam też najbujniej rośnie, najokazaliej się rozwija. Taką ojczyzną wrzosię jest przyładek Dobrzej Nadziei w Afryce południowej. Gdy w całej Europie zaledwie kilka gatunków tych roślin wyrasta, i to dość niepozornych, tam, na niewielkiej przestrzeni naliczono ich przeszło czterysta, a wszystkie wspaniale wyglądają. Wrzosię afrykańskie są krzewami drzewiastymi, w całym znaczeniu tego wyrazu; dorastają kilkunastu stóp wysokości i tworzą ogromne zarośla, które śmiało lasami nazwać można. Liście ich zawsze są szczupłe i nie mogą tym dżewkom nadać ozdoby wierzchowności, ale za to kwiaty ich odznaczają się niepospolitą pięknoscią i bogactwem barw. Zawsze mają też samą budowę dzwoneczków, kubeczków lub podłużnych czarek o czterech kłapkach, niezbyt głęboko rozciętych, ale przechodzą wszystkie odcienie, od białych, różowych, lila, błękitnawych, do najjaskrawszej purpury, do blasku złota i

szkarłatu. Dodajmy do tego, że wrzosię na przyładku Dobrzej Nadziei kwitną przez kilka miesięcy i to tak bujnie i obficie, że niepozorne ich liście nikną zupełnie pod tą masą pięknych, różnobarwnych kwiatów. Jakże cudnie wyglądać muszą takie kwitnące lasy! Zamorskie te gatunki wrzosię często napotkać można po cieplarniach, gdzie zwykle noszą naukową swoją nazwę łacińską: *Erica*.

Do tejże samej rodziny wrzosięniowatych zaliczają także różaneczniki, czyli rododendrony, które są najpiękniejszą ozdobą gór. Krzewy te nigdzie w dolinach nie rosną, tylko na wysokich górach. Różaneczniki alpejskie, których kwiat purpurowy zwykle różą alpejską nazywają, nie są bardzo okazałe; piękniejsze daleko są gatunki azyatyckie, w górach sybirskich i kaukazkich, a najwspanialsze widziano na stokach gór Himalaja. Sybirski różanecznik złocisty ma kwiaty wielkie, złocisto-żółtej barwy, pięknie pachnące, z liści jego aromatycznych Tatarzy przyrządzają napój, do herbaty podobny, który ma być lekarstwem na reumatyzm.

Znakomity podróżnik angielski, dr. Hooker, przepędził kilka miesięcy na wyżynach gór Himalaja i opisał wspaniałą ich roślinność. Rododendrony, czyli różaneczniki rosną tam w licznych gatunkach i dochodzą największej okazałości. Jeden gatunek wyrasta pasorzytnie na pniach wielkich drzew. Szczupłe jego gałązki dźwigają na końcach swych pęki ogromnych kwiatów o miłej, cytrynowej woni. Inne wyglądają zupełnie jak drzewa. Wątle krzewinki alpejskiej róży nie przechodzą pięciu stóp wysokości, a kwiatki ich mało co większe są od fiołków, ale różanecznik srebrzysty, widziany przez Hookera na himalajskich wyżynach, w państwie indyjskiem Sikkim, jest drzewem na czterdzieści stóp wysokim, liście jego obszerne dochodzą piętnastu cali długości, a kwiaty mają dwanaście centymetrów średnicy. Piękne liście są z wierzchu ciemnozielone, pod spodem srebrzysto omszone. W innych gatunkach ten kutner miewa odcień rdzawy i także ślicznie odbija od lśniącej, zielonej powierzchni liści. Kwiaty jaśnieją najświetniejszymi barwami, białe, złociste, szkarłatne,

ciemnopurpurowe, pomarańczowe, piękniejsze jedne od drugich, a wszystkie pachnące. Zwykle pęki kwiatów wyrastają na wierzchołku gałęzi, otulone bogatą wiązką liści, które się przy nich najobficiej skupiają. Niektóre gatunki tych pięknych różaneczników zrzucają kiedyniekiedy zwierchnią korę, która opada w około w płateczkach czerwonych, delikatnych, jak strzępki jedwabnej tkaniny. Do jakich rozmiarów dochodzą różaneczniki azyatyckie, możecie sobie wyobrazić, gdy powiemy, że niektóre dostarczają pięknego drewna do robót snycerskich i stolarskich. W ciaplarniach naszych te zamorskie gatunki dobrze się hodują; jeden z najpiękniejszych zowie się indyjskim, ztąd można, że właśnie z gór himalajskich pochodzić musi. Różaneczniki wyróżniają się od wrzosieni kształtem kwiatów, które mają koronę o pięciu działkach i dziesięć pręcików.

Bardzo zbliżone do nich są polanki, po łacinie *Azalea*, także górskie rośliny, o kwiatach ozdobnych, utrzymywane często w ciaplarniach. Kwiat polanki, pięcioklapkowy, ma tylko pięć pręcików. Najpiękniejsze gatunki pochodzą z Azji.

Jeżeli chcecie poznać wszystkie rośliny spokrewnione z wrzosami, powrócimy do naszego kraju, znajdziemy ich tu podostatkiem. Najpierw różne krzewy, wydające jagody jadalne, borówki, czernice, brusznice i ulubione litewskie żórawiny, zaliczone są do rodziny wrzosieniowatych. Jagody te są tém szacowniejsze, że rosną głównie na północy, gdzie braknie wielu owoców, cieplejszym strefom właściwych. Już na Podolu i Ukrainie nie znajdziemy borówek po lasach, tam za to kawony czyli arbuzy i melony w ogrodach i na polach dojrzewają. Borówki i żórawiny posuwają się bardzo daleko na północ, wybornie wytrzymują mrozy, jagody ich najbezpieczniej przechowują się pod śniegiem, powiadają nawet, że żórawiny dopiero w drugim roku, gdy je mróz dobrze zwarzy i rozmiękczy, najlepsze są na konfitury i soki.

Pomiędzy borówkami odróżniają czernicę, której słodkie, czarne jagódki, bardzo są pospolite na Mazowszu; niemniej rozpowsze-

chnione brusznice mają jagódki czerwone, twarde, kwaśne i cierpkie, i tylko usmażone z cukrem dobrze smakują. Łołynia, o jagodach podłużnych, modrawych, nie jest wcale jadalna. Wszystkie te krzewiny, po borach lub na wilgotnych łąkach rosące, mają drobne listeczki twardawe, kwiatki cieliste o ośmiu pręcikach, podobne do kulistych dzwonek lub słoików, z odwiniętym wązkim brzeżkiem, w pięć ząbków wyciętym. Żórawina rośnie na torfowatych łąkach w północnych okolicach, łądźki ma wątle, pełzające pomiędzy mchem, kwiaty także cieliste, na cztery rozłożyste działki rozcięte, jagody czerwone, wielkości dużego grochu.

Warto także wymienić ładne roślinki zwane gruszczykami, od liści podobnych nieco do gruszkowych. Gruszczyki kryją się w głębi lasów, mają ładne białe kwiateczki, a liście ich gładkie, jasno zielone, nie opadają na zimę i zwykle wraz z mchem widzieć je można w Warszawie za podwójnymi oknami. Nakoniec i bagno, to ziele podobne nieco do rozmarynu, mające mocny, aromatyczny zapach, używane jako trucizna na mole, także do rodziny wrzosieniowatych jest zaliczane.

M. J. Z.

## PRZYGODY NIEUSTRASZONYCH PODRÓŻNIKÓW W PUSZCZACH AFRYKAŃSKICH.

(Dalszy ciąg).

Czarny władca patrzył na nich przez chwilę w najwyższym podziwieniu i zawołał:

— Więc to są duchy białe, które pioruny noszą z sobą! Ojciec mój mówił mi wiele o nich.—I przywoławszy niewolnika, prosił Europejczyków, ażeby poprobowali na nim swoich piorunów.

— Biali ludzie nie zabijają nigdy podobnych sobie istot dla igraszki, lecz tylko w obronie własnego życia — odpowiedział Laenek, a Yombi, który służył za tłumacza, po-



wtórzył słowa jego królowi. W téjże saméj chwili jastrząb przeleciał ponad dziedzińcem, Laenek szybko wymierzył, strzelił i ptak, zakręciwszy się w powietrzu, spadł na ziemię, u nóg wojowników murzyńskich, zgromadzonych przed pałacem. Usłyszawszy wystrzał, murzyni przerażeni padli twarzą na ziemię; nie znali broni palnej, a gdy spostrzegli zabitego ptaka, myśleli, że ostatnia ich godzina nadeszła. Remboko przygotowany był do tego widoku, gdyż ojciec jego był kiedyś w Gabunie, gdzie widział ludzi białych i opowiadał mu o tych dziwnych istotach, a jednak nie mógł pokonać wzruszenia.

— Widzę was nakoniec, potężne duchy białe—rzekł uroczyście—przysięgliście niegdyś ojcu mojemu, że przybędziecie do niego w gościnę i czekał was z upragnieniem; ale spóźniliście się, gdyż sędziwy wódz odszedł do krainy obłoków; już cztery razy minęła pora deszczów od tego czasu. Witajcie w mojemu państwie, wy, co śmierć i życie macie w swoich rękach.

Potém nagle uderzył się dłonią po czoło, jakgdyby sobie coś przypomniał i prosił białych swoich gości, aby przywrócili do życia staruszkę, matkę jego, która była konająca. Laenek usiłował mu wytłómaczyć, że biali ludzie nie mają władzy odwracania śmierci.

— Matka twoja musi umierać ze starości—rzekł—i nikt nie zdoła przedłużyć jej życia, gdyż wszyscy ludzie są śmiertelni.

— Nie, ona nie ze starości umiera—odparł Remboko—wielki kapłan poznał, że ją oczarowano, a jeśli białe duchy nie mogą czarów odwrócić, to niema innego sposobu, tylko pościnać głowy winowajcom.

Król Fanów miał na sobie strój osobliwszy: czapka jego, w kształcie głowy cukru, ozdobiona była sznurkami koralu i kawałkami potłuczonego zwierciadła, podobne sznurki koralu owijały się w kilka rzędów na jego szyi i oddech mu prawie tamowały, a inne zwisały się od pasa do kolan. Biodra miał opasane czerwoną, bawełnianą tkaniną, a pas ten podtrzymywał wielki pałasz i kilka nożów. Ręce jego i nogi uzbrojone były w bransolety ze starych metalowych guzi-

ków. Był to strój galowy, używany przez króla na wielkie uroczystości.

Posłuchanie zakończyło się wreszcie; król Remboko prosił dostojnych cudzoziemców, ażeby bawili jaknajdłużej w jego stolicy i rozgościli się, jak w domu.

Wieczorem podróżnicy odpoczywali w swojej chatce, gdy nagle usłyszeli przeraźliwe krzyki i dźwięki muzycznych narzędzi. Wybiegli i skierowali się w stronę, z kąd dochodziły te niezwykle odgłosy, obaczyli też wkrótce tłumy ludu, tłoczące się na wielkim placu miejskim. Dowiedzieli się, że Okanda, matka królewska, umarła przed chwilą, a wielki kapłan, Mkuengo, miał zakląć bożka Mayakombę, aby wyjawiał, kto ją zabił niegodziwymi czarami. Cała ludność, nie wyłączając nawet kobiet i dzieci, zebrała się na to widowisko; wszyscy byli uzbrojeni i odgrzali się straszliwie na winowajców.

Mkuengo ustawił na placu drewniane bóstwo Mayakombo, a obok niego uszykował liczny orszak różnych bóstw podrzędnych i oznajmił zgromadzonemu ludowi, że największe nieszczęścia spadną niechybnie na kraj cały, jeśli wyroki niebios nie będą niezwłocznie wykonane. Lud odpowiedział jednogłośnie okrzykiem, że gotów jest pomścić śmierć królowej matki. Kapłan, chcąc ich pobudzić do większej jeszcze gorliwości, przyrzekł wszystkim, którzy ślepo spełnią jego rozkazy, że ich obdarzy za to czarodziejskimi środkami przeciw chorobom i klęskom wszelkim.

— Co to będzie?—zapytał Guillois Laeneka.

— Już nieraz byłem świadkiem podobnego widowiska—odpowiedział Laenek.—Wielki kapłan chce się po prostu pozbyć wszystkich swoich osobistych nieprzyjaciół, tych zwłaszcza, którzy są w łaskach u króla i obwini ich o czary, a tłum zaślepiony ich wymorduje.

— Czyż możemy patrzeć obojętnie na takie okrucieństwo?

— Jeśli nie chcemy własnego życia narażać, nie będziemy się do téj sprawy mieszać!—odrzekł Laenek—dość byłoby, ażeby kapłan oskarżył którego z nas o oczarowanie nieboszczki, ażeby nas w jednéj chwili roz-

szarpano. Musimy więc milczeć radzi nie radzi, gdyż nie możemy przeszkodzić tym mordom.

— A więc oddalmy się lepiej i nie patrzmy na to przynajmniej, bo to okropny widok.

— Zapewne, ale już teraz za późno, nie potrafimy się przebić przez te tłumy ludzi.

Musieli więc stać spokojnie i czekać końca.

Straszliwe widowisko nie trwało długo; jak przewidział Laenek, kapłan Mkuengo wskazał kilku najpotężniejszych swoich nieprzyjaciół, na których nie odważyłby się nigdy porwać w zwyczajnych okolicznościach, ale gdy szło o pomszczenie śmierci matki królewskiej, wszystko mu było wolno. Nieszczęśliwi ci rozszarpani zostali w mgnieniu oka przez tłum rozjuszony. Murzyny są nadzwyczaj zabobonni, obawiają się czarów i kapłani korzystają z tego, ażeby nad nimi panować. Ażeby niewinnego człowieka życia pozbawić, dosyć jest oskarżyć go o czary. Podróżnicy nasi w smutnym bardzo usposobieniu powrócili do swojej chatki i długo w noc usnąć nie mogli.

Nazajutrz król Remboko wyprawiał wielką ucztę na cześć swoich gości, tańce i śpiewy trwały od rana aż do zachodu słońca, nakoniec dla uciechy ludu kazał zamordować kilkunastu niewolników i oddał ich na pastwę żarłocznej tłuszczy. Mieszkańcy wioski Enogue nie zmienili żadnych swych obyczajów, chociaż trudnili się uprawą roli i zawsze jeszcze byli ludożercami, jak wszystkie plemiona Fanów. Podróżnicy nasi musieli patrzeć na tę okropną ucztę i tłumić w sobie wstręt i oburzenie, ażeby własnego życia nie narazić. Wyrwali się, jak tylko mogli najwcześniej i ukryli się w swojej chatce z silnym postanowieniem opuszczenia tych miejsc jaknajśpieszniej, gdyż nie mogli znieść widoku takiego barbarzyństwa.

Mkunia dokonał tego wieczora bohaterskiego czynu, zabił jadowitego węża nosorożca *Echaida Nasicornis*. Wąż ten jest nadzwyczaj niebezpieczny i trudno go się ustrzedz, gdyż nie wchodzi na drzewa, jak inne węży afrykańskie, ale rozciąga się w trawie i leży nieruchomy, jakby nawpół uspijony; gdy poczuje zbliżenie istoty żyjącej, rzuca

się na nią gwałtownie i nie obawia się niczego. Wąż nosorożec jest krótki, gruby, skórę ma wspaniale centkowaną, a po obu stronach pyska, szerokiego i spłaszczonego, trzy narośle, sterzące nakształt rożków. Jedna, największa, wyrasta na samych nozdrzach. Krajowcy utrzymują, że ukąszenie jego jest zawsze śmiertelne.

Nazajutrz rano podróżnicy mieli trochę kłopotu, gdyż król Remboko nie chciał ich wypuścić i musieli mu przyrzec, że wkrótce powrócą do niego. Na znak przyjaźni, dodał im straż honorową, która ich odprowadziła aż do kraju Assirasów, gdzie przybyli po trzydniowej podróży. I tu mieszkańcy przyjmowali ich z oznakami najwyższego podziwienia, gdyż biali ludzie nigdy jeszcze nie pojawili się w tych stronach. Zapraszano ich bardzo, ażeby się zatrzymali choć na kilka dni, ale młodzieńcy niecierpliwie wyglądali końca swjej podróży i postanowili zanoceować tylko w osadzie Assirasów, a nazajutrz dalej pośpieszać. O ile mogli obliczyć, do Gabunu było już niedaleko, kilkadziesiąt mil najwyżej, mogli je przebyć w dni kilka, a na myśl, że wkrótce ujrzą rodaków i okręty francuskie, Barthet i Guillois nie posiadali się z radości. W Gabunie spodziewali się nawet zastać wiadomości od krewnych i przyjaciół, gdyż, jak przypominają sobie czytelnicy, tam właśnie miał ich wysadzić kapitan Noel. Ciekawi też byli niezmiernie, co się stało z Osą, którą zostawili w bardzo niebezpiecznym położeniu w sąsiedztwie wojennej fregaty i co porabiają dwaj towarzysze ich morskiej podróży, Toucas i Gilliasse. Wszystkie te dziwne zdarzenia, o których mało myśleli w czasie długiej wędrówki wśród puszczy, teraz żywo stawały im w pamięci. Im bliżsi byli celu, tém więcej się niecierpliwili. Tęsknili do życia cywilizowanego, do widoku rodaków i nieustannie o tém mówili, nie spostrzegłszy nawet, że Laenek tymczasem coraz smutniejszy się stawał i nie mieszał się do ożywionej ich rozmowy.

Plemie Assirasów wyprawilo także świetną serenadę z tańcami i śpiewami na cześć podróżników, a wieczorem, gdy ucichły hałasy i wrzaski, Barthet i Guillois obejrzeni



się za Laenkiem, ale go nigdzie w pobliżu nie znaleźli; dowiedziawszy się od wiernego Mkuni, w którą stronę odszedł, udali się w ślad za nim i zastali go wkrótce siedzącego nad brzegiem strumienia. Księżyc w pełni srebrzystym blaskiem oświecał piękny krajobraz, Laenek spoglądał w zamysleniu na fale strumyka, nie usłyszał nawet zbliżenia się dwóch młodzieńców.

— Opiekunie nasz — rzekł Barthet — musisz mieć smutne jakieś myśli; czemuż unikasz naszej obecności?

— Darnjcie, moi panowie — odrzekł Laenek — ale każdy człowiek ma czasem w życiu ciężkie chwile i bolesne wrażenia, których pokonać nie jest w stanie. Pytacie, czemu się smucę? — odpowiem wam z całą otwartością, chociaż trudno mi się przyznać do tego. Wasza radość mię zasmuca...

— Nasza radość?

— Tak jest, niestety! Przez czas tak długi miałem was przy sobie, nawykłem do waszej obecności, a teraz .. zdaje mi się, że już bez was wyżyć nie potrafię w tych samotnych puszczech.

Dwaj młodzieńcy, słuchając tych słów, do łez byli wzruszeni.

— Drogi opiekunie — rzekł Guillois, siadając przy nim i biorąc obie jego ręce w swoje dłonie — czyż sądzisz, że i my moglibyśmy bez smutku rozstać się z tobą? Ale to być nie może, ty musisz nam towarzyszyć do Gabunu, a ztamtąd odjedziesz do Francji. Grzech twój jest odpokutowany i niezawodnie będzie odpuszczony.

— Nie, nie, moi panowie — rzekł dawny marynarz stanowczym głosem — daremne to są marzenia, ja nie mam po co wracać do ojczyzny. Krewni i przyjaciele moi wymarli lub zapomnieli o mnie, obcy ludzie odwracaliby się od biednego wygnańca, a ja nie potrafiłbym już może nagiąć się do życia cywilizowanego. Tyle lat przebyłem wśród dzikich ludzi, że i samą zdziaczałem po trochę. Cóżbym ja robił w Europie, gdyby mi przyszła ochota zapuścić się w lasy na parę tygodni z wiernym moim brytanem, nacieszyć się powietrzem, słońcem i swobodą. A zresztą — dodał próbując się rozśmiać — wszak dałem słowo królowi Gobi, że powrócę, a ja

słowa złamać nie mogę. — Mówiąc to, Laenek powstał i śpiesznie się oddalił.

Barthet i Guillois w milczeniu powrócili do chatki, gdzie murzyni urządzili im nocleg wygodny, ale nie mogli już odzyskać wesoleści, a nim usnęli, ukolysani jednostajnym szmerem strumienia, słyszeli po kilka razy ciężkie, przytłumione westchnienia Laeneka  
(d. c. n.)

### Łamigłówka liczbowa. (M. i K. Ph.)

Z dziesięciu liter nazwisko sławnego pisarza polskiego 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10. Przetawiając litery otrzymamy:

8, 1, 2, 7, 3. Rzeka w Polsce.

JK 6, 7, 3. Imię biblijne.

7, 10, 2. Miejsce niebezpieczne.

2, 3, 1. Skorupiak.

7, 10, 6, 9. Nazwa dziennika.

3, 4. Nazwa karty.

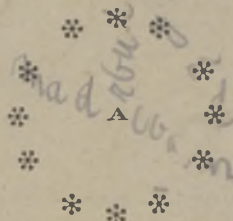
9, 2, 3. Bryły lodu.

1, 3, 2, 9. Część ciała.

8, 3, 4. Cudzoziemiec.

4, 5, 6, 7. Rzecz niezbędna u sukni

### Łamigłówka zegarek. (M. P.)



Zamiast 12 godzin, ułożyć 12 liter, a te utworzą nazwisko uczonego artylerzysty polskiego, który był rodem z Litwy i żył za Władysława IV-go. Potem ułożyć w kształcie wskazówek 12 wyrazów, zaczynających się na literę A, kończących się na jedną z liter zaznaczonych na zegarku zamiast godzin, w następującym porządku: 1) Góra. 2) Zwierzę. 3) Prowincja Francji. 4) Książka pa-

miątkowa. 5) Państwo w Afryce. 6) Miejsce urodzenia wielkiego monarchy. 7) Imię angielskie, dobrze znane czytelnikom Wieczorów Rodziny. 8) Rzeka w Europie. 9) Miasteczko w Polsce. 10) Imię męskie. 11) Miasto słynne bitwą w r. 1805. 12) Owoc jezienny.

### Rozwiązania do Nru 38.

Krzyża z podstawą:

W  
 Ł  
 B R O N A  
 C  
 Ł  
 A  
 E W A  
 K R E D A  
 T A N K R E D

Homonimów:

Kula armatnia i kula drewniana dla kalek.

Zagadki: Las.

### OGŁOSZENIE.

Dla prenumeratorów *Wieczorów Rodziny* są do nabycia w redakcyi następujące dzieła:

**Album Willanowa**, przepyszne wydanie, z opisem *Skimborowicza* i *Gersona* . . . . . rs. 6 k. —.

**Królowie Polscy**, dla młodzieży w ozdobnej oprawie. Poczec złożony z 43 portretów podług rysunku *T. Maleszewskiego* . . . . . rs. 2 k. 50.

Wydawnictwa *Wł. Nowickiego*:

**Szlachetna zabawa Ser. I.** — k. 60.

„ „ Ser. II. — „ 65.

**Początki języka** . . . — „ 40.

**Jak uczyć początków języka** . . . . . — „ 20.

**Podwieczorki u Jadzi**, przez *Jaskótkę* . . . . . rs. 1 k. —.

**Pogadanki naukowe**, przez *M. J. Zaleską* . . . — „ 30.

**Wakacje Janka i Zosi** . — „ 75.

### OD REDAKCYI.

Prenumeratorom kwartalnym przypominamy wczesne złożenie przedpłaty dla uniknięcia zwłoki w przesyłce Pisma.

freść.—Fryderyk Chopin, (z drzeworytem).—Początek zimy, (wierszyk), przez J. N. J.—Ziarnka moralności, (z drzeworytem).—Kto chce, ten wiele może, komedyjka w 3-ach aktach, przez M. Cz., (dalszy ciąg).—Gawędy podsłuchane u wiślaniej fali, przez M—a.—Wzór do rysunku, (drzeworyt).—Rodzina wrzosów, przez M. J. Z.—Przygody nieustraszonych podróżników w puszczech Afrykańskich, (dalszy ciąg).—Zamigłówki.—Rozwiązania.—Ogłoszenie.—W dodatku Pamiętnik wujaszka, (powieść).

Prenumerata wynosi w Warszawie: *Rocznie* Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinniey. *Kwartalnie* Rs. 1 i kop. 2 1/2, *Miesięcznie* kop 34 i pół. Na Prowlucji i w Cesarstwie z opłatą poczt: *Rocznie* rs. 5 i 10 kop. *Kwart.* rs. 1 kop. 27 1/2 w Poznaniu u N. Kamińskiego: *Rocz.* 14 marek. *Kwart.* 3 marki 50 fenig. Z przesyłką pocztową na prowincyi *Rocz.* 16 marek. *Kwart.* 4 marki We Lwowie u Gubrynowicza Schmidta *Rocz.* 7 zlr. 20 cent. *Kwart.* 1 zlr. 80 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyą: *Rocz.* 8 zlr. 80 cent. *Kwart.* 2 zlr. 20 cent. w Krakowie u Gebethnera i Sp. *Rocz.* 6 zlr. 60 cent. *Kwart.* 1 zlr. 65 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyą: *Rocz.* 8 zlr. *Kwar.* 2 zlr.

Biuro Redakcyi: Ulica Mazowiecka Nr. 8.

Дозволено Цензурою. Варшава, 12 Сентября 1881 года.—Redaktorka i Wydawczyni **Ludwika Hauke**.

Czcionkami M. Ziemkiewicza i W. Noakowskiego, Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.